

BIBLIOTECKA UNIwersYTETÓW
LUDOWYCH I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

22

KLEMENS JUNOSZA
(SZANIAWSKI)

Ł A C I A R Z

F R O I M

WYDANIE DRUGIE



986

NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

KLEMENS JUNOSZA
(SZANIAWSKI)

Ł A C I A R Z
F R O I M

WYDANIE DRUGIE



NAKLAD
GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA

~~986~~

W ins. 1049

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0162766



244382

KRAKÓW — Druk W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1930

Φ-200/04p

ŁACIARZ

Smutna noc jesienna ukołysała do snu szlacheczką wioskę podlaską.

Domki i stodoły utonęły w ciemności, niby w naczyniu olbrzymiem, pełnem rzadkiego, rozwodnionego atramentu...

Z poza chmur ołowianych, ciężkich, czasem tylko, przelotnie, gdy wiatr silniejszy zawiał w górze, ukazała się gwiazdka drobna i zniknęła zaraz, jak ten, co się pokryjomu przez granicę przemyka...

Cisza była grobowa jakaś, uroczysta, światła pogasły, ludzie posnęli... tylko wicher, hulający po polach, porał się i borykał ze starą wierzbą rosochatą i odrywał z jej połamanych i krzywych konarów ostatnie listki poźółkle...

Gruby pień tej schorzałej, w górnej części od pioruna rozdartej suchotnicy był wypróchniały wewnątrz; z bocznych gałęzi rdzeń także już wypadł — i tym sposobem ze starej wierzby utworzył się jakiś flotowers¹⁾ dziwaczny, z którego tchnienia wiatru kapryśne dobywały tony...

Z odległego boru dolatywały czasem przeciągłe, smutne wycia głodnych wilków i były one jedynym głosem, rozlegającym się wśród tej ciemności i ciszy...

¹⁾ Flotowers — flet.

Ludzie posnęli snem twardym, kamiennym — tym właśnie snem bez marzeń i widziadeł, jaki jest udziałem ciężko pracujących rękami.

Kto się sochy przez dzień cały nadźwiga, lub też cepem dobrze namacha — temu twarda ława nawet starczy za pościel wygodną — temu snu mógłby niejeden możny szczęśliwiec pozazdrościć.

Od kilku już godzin, bo koguty dawno północ obwieściły, Morfeusz¹⁾ samowładnie panował w wiosce szlacheckiej, i wszyscy jej mieszkańcy chrapali tak rzetelnie, jak na prawdziwą, zagrodową chociaż zawsze wojewodom równą, szlachtę przystoi.

Podczas tej szarej nocy jesiennej, w jednym z dworców, na skraju wsi położonym, migotało białe, niepewne światelko, a na szybach okienka rysował się cień człowieka pochylonego, zgiętego, wykonywającego wciąż ręką ruchy jednostajne, miarowe...

Któż czuwa we wsi o tak późnej godzinie? komuż przyszła dzika myśl palenia światła wśród nocy, która jest na to dana, aby się człowiek mógł wyspać? Zajrzyjmy tam do izby...

Jest ona duża dosyć, o dwóch małych okienkach. Na kominie, skwiercząc i trzeszcząc, tłą się dwie mokre szczapy brzożowe, po których korze białej przemknie od czasu płomyk blady, zatrzyma się na chwilę i cofa znów do swych rodziców, dwóch grubych główien rozżarzonych, zaczerpnie od nich sił świeżych i silniejszy już, już nawet krwawym odbłaskiem bogaty, z nowym zapałem rzuca się na szczapę i coraz gorętszym pocałunkiem zdziera z niej skórę białą..

¹⁾ Morfeusz — bożek snu.

W drugim rogu izby stoi łóżko wielkie i dźwiga na sobie ogromną, kilimkiem w pasy wzorzyste powleczoneą pierzynę... Z pod jednego jej rogu widać czepiec i część czerwonej, jak cegła, twarzy energicznej szlachcianki.

Pod kominem, na garści słomy świeżej, chrapie prawa ręka gospodyni, przysadzista Brygida, i widocznie ma jakieś sny idylliczno¹⁾-pasterskie, gdyż często czyni gest taki, jakby cudzy dobytek energicznie wypędzała ze szkody.

Na ławce pod ścianą rozciągnął się chłopak dwunastoletni może, najmłodszy już członek rodziny, głowę oparł na złożonym we czworo kożuchu, ręce podłożył pod głowę i leży tak spokojnie i cicho, jak wtedy, kiedy letnią porą, woły pasąc przede dniem, w cichem rozmyślaniu przyglądał się gwiazdom wędrującym po niebie i tym szlakom mlecznym, po których, wedle podań ludowych, sami święci chadzają i aniołowie.

Sam pan Onufry, dziedzic tej chałupy i gruntu, śpi na drugiej stronie w paradnej izbie, w której sośnina, żółtą powleczoneą farbą, stara się jesion udawać, a swojej roboty płótno, stół przykrywające, imituje²⁾ obrus.

Pan Onufry śpi jak zarznięty, jak wszyscy jego domownicy zresztą, jak jejmość, która się przez dzień cały setnie udreptała, a nakrzyczała, nagadała dwa razy więcej jeszcze!

W izbie czeladniej i kuchni zarazem, gdzie na

¹⁾ Idylliczny — sielankowy, wiejski.

²⁾ Imitować (łac.) — naśladować, udawać.

kominie ogień się żarzy, czuwa jedna tylko istota, ale obca temu domowi zupełnie.

Jest to żydzina blady, wątły, chudy, odznaczający się szczególną śpiczastością kształtów.

Ostro zakończona krymka, nieco wtył zsunięta, pokrywa mu czubek głowy, a z pod tej krymki wymykają się krótkie, wijące się pejsy, jak dwa świderki, w skronie wkręcone.

Kontrabanda¹⁾ to niby — ale ten żydzina tak mało słodkich owoców zakosztował w swem życiu, że może ten zakazany, a tak niewinny w gruncie, jest jedyną pociechą i przyjemnością osobistą.

Na śpiczastym nosie tkwią okulary w oprawie mosiężnej, a przez szkła tych nośców starożytnych, nabytych może po jakim starym, bardzo starym mnichu, widać oczy przenikliwe, czarne, o spojzeniu ostrem — chociaż zamaskowanem nieco przez mgłę łzawą, która, jak tiulowa firanka, pada na wzrok znużony pracą i całonocnem czuwaniem.

Podłużną twarz kończy bródka rzadka, śpiczasta, wśród której, niby fastryga biała na tle czarnego ubrania, jaśnieją srebrne nici siwizny przedwczesnej.

Piers wklęśła, zapadła i szczupła, przez ciężki przerywany oddech świadczy — ile w niej pracy podejmują ubogie płuca, aby utrzymać życie ich właściciela...

¹⁾ Kontrabanda (włosk.) — przemykanie, wprowadzanie do kraju towarów zakazanych albo nieoclonionych. Tutaj autor nazywa pejsy, t. j. kosmyki włosów, zwieszające się przed uchem, kontrabandą, gdyż w państwie rosyjskiem i na ziemiach polskich, objętych zaborem, Żydom nie wolno było nosić pejsów.

Łokcie śpiczaste, palce wyschłe i zakończone ostro, i nogi cienkie jak patyki składają się na całość, która podobna jest do szkieletu, zamkniętego w podwójnym futerale: ze skóry ludzkiej i kilku łokci czarnego, wytartego już dobrze kamlotu.¹⁾

Ta wątła, tak gorliwie pracy oddana istota — to Judka Silberknopf, pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice i wszystkie okoliczności...²⁾ jak sam utrzymuje...

Przed nim leżą na stole nożyczki, garść guzików, parę pasem nici, kawałek nalepionego na deseczkę wosku i tabakierka z kory brzoźowej z rzeźmymczkiem, napełniona ruską tabaką...

Od czasu do czasu, kiedy mgła łzawa bardziej oczy zasłoni, kiedy powieki nabiorą ołowianej ciężkości i opadać zaczną bezsilne, chude palce Judki czerpią z tabakiery porcję zielonego proszku, i świeżość chwilowo powraca.

Do oczu napłyną łzy większe, mgłę zmyją, i znowu wzrok bystrzej śledzi ścięgi igły, mającej uszyć fajn³⁾ palto warszawskie z takim dużym kołnierzem, jak sam jaśnie hrabia nie nosił.

Oprócz tabaki, stoi jeszcze na stole mała butelczka wódki, kawałek chleba, dwie cebule i szczypta soli w papierku; ale Judka, człowiek praktyczny, on nie wypije teraz wódki i nie zje cebuli, bo wie o tem dobrze, że za parę godzin, kiedy on będzie rękawy przyszywał, a tam na wschodzie, między niebem a ziemią, zarysuje się już widocznie pas

¹⁾ Kamlot — tkanina lekka z wełny lub z jedwabiu.

²⁾ Okoliczności zamiast okolice.

³⁾ Fajn (niem.) — piękny, wytworony.

biały, budzący do trzeciego piania koguty — jemu się zrobi coś koło serca niedobrze...

On wtenczas uczuje takie ściskanie w dolku i taką niemoc straszną, że mało ze stolka nie spadnie; robi mu się słabo przed oczami, ujrzy migające się koła, bardzo ładne koła czerwone, zielone, niebieskie, złote, czarne cętkowane złotem, a nareszcie całkiem już czarne, które szybko zaczęły się łączyć z sobą i tworzyć jedną czarną całość...

Wtenczas lekki dreszcz przebiegnie mu po grzbiecie, na czoło wystąpią duże krople potu... zapadła pierś ciężko pracować zacznie — i chwilowo wyda mu się, że Jehowa zbiedniał, i że ma zaledwie tylko trochę powietrza i to... dla bogatszych Żydów naturalnie.

Judka zna dobrze takie chwile — jemu to już nie pierwsze... On później przeprosza w modlitwie swego Stwórcę, że miał takie posądzenie grzeszne... ale jemu się zdawało, że już niema dla biednych powietrza.

Dlatego też, że zna te interesa, więc wódki nie pije zaraz. Przyjdzie czas na to — nie potrzeba na zegarek spoglądać... Koła zielone i złote błysną przed oczami...

Wtenczas Judka wstanie, wyprostuje się, zwilży skronie wodą, umyje ręce, zwróci oczy w tę stronę, gdzie już wyraźnie pas złocisty ziemię od nieba odzieli — i zmówi krótką modlitwę.

W tej modlitwie same dziękczynienia zawierać się będą. Judka powie tak:

— Dziękuję Ci, Boże, żeś mnie nie stworzył

kobietą, dziękuję, żeś mnie nie stworzył niewolnikiem, żeś mnie nie uczynił psem!

Czyli: dziękuję za to, że jestem dzielnym mężczyzną; że jestem wolnym człowiekiem i mogę pracować ośmnaście godzin na dobę; że wreszcie jestem pierwszym krawcem warszawskim na całe miasto Łosice i wszystkie okoliczności, nie zaś brzydkim i głupim zwierzęciem.

Potem z czystym już sumieniem Judka odleje małą częśćką trunku na ziemię, a resztę wysączy powoli, rozkoszując się każdą kroplą, która odrazu wprowadzi ciepło ożywcze do jego zziębniętego, wstrząsanego przez dreszcze, organizmu.

Wypiwszy wódkę, spożyje małą ilość chleba z dużą ilością soli i zje cebulę — ale jedną tylko — gdyż takie cebule nie trafiają się codziennie. Są one wielkie, płaskie, bladoczerwone, ze szczególnym srebrnym połyskiem — i mogą być prawdziwą ozdobą szabasowej uczy.

Dlatego jedna z nich musi być schowana na zapas, w najgłębszej kieszeni wytartego chałatu.

Załatwiwszy się ze sprawą pożywienia, z czerwonymi oczami, lecz z rzeźwością wywołaną sztucznym, Judka dmuchnie w ogień i postawi na kominie dwa żelazka z rączkami owiniętymi w szmaty, dwa żelazka czarne, jak jego dola, a twarde, jak ta konieczność nieubłagana, co mu kark zgina ku ziemi i brodę przedwczesną siwizną przyprósza.

Zanim chrapiący mocno szlachcie i jego czeladka zbudzą się ze snu twardego, zanim Judka wykończy warszawskie fajnpalto, z kształtu do dużego worka podobne — cofnijmy się myślą wstecz i w kilku

rysach pośpiesznych spróbujmy nakreślić życiorys tego łaciarza.

Nie będzie w nim pięknych i estetycznych obrazów — brud, głód, ciemnota i praca nad siły — oto cztery filary, na których wsparło się życie tego człowieka.

Siła pamięci nie utrzymała w jego głowie obrazów pięknych i poetycznych. Jak daleko sięgnęłaby myśl jego w przeszłość, wszędzie szaro, ponuro, brudno

Jeżeli marzył o czem w dniach młodości, to chyba tylko o rublach srebrnych lub może o wielkich postępkach w talmudycznej mądrości — ale ani bogactwo, ani uczoność nie były zapisane w księdze jego przeznaczeń.

On odziedziczył po ojcach rzemiosło, z którego utrzymywać się musiał.

Pradziad jego w tem samem miasteczku szył szlachcie dostatnie czamary z potrzebami i grube oponcze od deszczu.

Były to piękne czasy!

Żyją one po dziś dzień w tradycji rodzinnej Judki, w żywym słowie przechodzą z pokolenia w pokolenie, ale bo też jest opowiadać o czem!

Szlachciec wprawdzie niechętnie grosza z kieszeni dobywał — ale wszelkiego prowjantu nie żałował, a taniość była ogromna!

Nie było osobliwością mieć całego szczupaka na szabas — a czasem w dzień powszedni widywano mięso.

Roboty było dość po dworach, zarobek stąd częsty, a bogactwo było tak wielkie, że kiedy pradziad babkę Rojżę zamąż wydawał — to jej w po-

sagu czystem złotem cztery oberzniete dukaty wylczył... a prócz tego jeszcze talara srebrnego dał na szczęście.

To czasy były... czasy!

Dziad Judki, który odziedziczył po ojcu część domu i warsztat, już nie miał tego losu. Zawsze jednak chwalił czasy swoje, zrobił albowiem arcydzieło sztuki krawieckiej, arcydzieło, o którym lubił wnukom opowiadać...

Zrobił frak!...

Frak dla samego pana burmistrza, na wesele, prześliczny granatowy z guzikami złożonemi, do tego kamizelkę w kwiaty białe i okoliczności¹⁾ z nankinu kanarkowej barwy.

Wszystko leżało, jak ułał, frak był piękny, długi z wążutkami rękawami — pieścidelko istne — a cały garnitur sprawiał wspaniały, nie dający się opisać efekt...²⁾

Ba! w owych czasach ludzie mieli gust, ubierali się jak lalki, a panowie byli! pięć złotych za uścienie garnituru dawali bez targu.

Dziadek miał dwóch synów, więc na ojca Judki już tylko ośma część domu przypadła. Czas się już psuł potrosze, firma zaczęła upadać, zniżono się do szycia chłopskich sukman i przedpotopowych, chociaż zawsze modnych surdutów dla zagonowej szlachty.

W tym czasie nasz bohater ujrzał światło dzienne.

O ile może zasięgnąć pamięcią, przypomina

¹⁾ Okoliczności — tutaj żartobliwie: spodnie.

²⁾ Efekt — wrażenie.

sobie trzech lub czterech wychudłych żydziaków, schylonych nad wąskim stolikiem i szyjących zawzięcie.

Przy drugim stole ojciec chudy, suchy jak szczapa, a dobrze już posiwiały majster, tępemi nożyczkami krajał grube sukno. Nożyce wydawały zgrzyt nieprzyjemny, Judka, czołgając się pod stołem, chwycił chciwie skrawki, które były dla niego tem, czem dla bogatych dzieci są lalki mechaniczne, piękne, duże konie na biegunach, lub welocypedy.

Ojciec miał bardzo dobre serce i nie żałował synowi skrawków drobnych, ale i szczodrość ojcowska nawet ma swoje granice; gdy więc chłopak porwał kawałek, mogący się przydać na łąkę, wówczas rodziciel konfiskował mu tę zdobycz i karał go kilkakrotnem uderzeniem po plecach jarmułką...

Judka z wrzaskiem niezmiernym tulił się pod opiekuńcze skrzydła, a raczej pod fartuch matki — i tu dopiero doznawał pewnego pocieszenia w swej niedoli, gdy matka pakowała mu w usta kartofel, uderzała pięścią w kark i wyrzucała za drzwi, z krzykiem:

— Gaj weg! dy paskidnik!!!¹⁾

Co znaczy — «idź, aniołku, posil się nieco i pobiegaj trochę po świeżem powietrzu».

Kartofel uspokajał wzburzone nerwy Judki — wesołość wracała — tem bardziej, że znalazło się grono przedsiębiorców, równych mu pojęciami i wiekiem, którzy z wiórów zebranych na podwórku budowali bardzo piękną kamienicę piętrową, czyniąc

¹⁾ Wynoś się, ty paskudniku! (żydow.)

przytem wrzask równie wielki, jak przy zdobywaniu Jerycha...

Młodość Judki upływała w jednakowych ciągle warunkach, w zimie grzał się pod piecem, w lecie zaś na słońcu — żywił się a raczej żywiono go kartoflami i rzodkwią, a za nieposłuszeństwo lub inne zdrożności ojciec bił go jarmułką, a matka tem, co miała pod ręką...

Kiedy już pięć lat życia skończył, wówczas ojciec myśleć zaczął o jego edukacji.

Ta edukacja spadła na niego jak grom, niespodziewanie i nagle. Wzięto go do szkoły, tak jak za dawnych czasów brano do wojska.

Pewnego pięknego poranku (bo zwykle w czarnych chwilach życia poranki bardzo piękne bywają) przyszło dwóch starszych, dwunasto lub trzynastoletnich żydziaków, pochwycili małego delikwenta¹⁾ za ręce i pociągnęli z sobą.

Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że bronił się walecznie... Opierał się nogami o bruk, krzyczał, walczył, ale, wobec przemagającej siły, ustąpić musiał...

Przeprowadzony przez kilka uliczek, wepchnięty został do izby ciemnej, zadusznej, pełnej dzieci, które ciekawemi, szeroko otwartemi oczami przyglądały się przybyszowi...

Przy osobnym stoliku w izbie tej siedział mąż wiedzy i mądrości wielkiej — a dziwnie surowego oblicza; przed nim leżała gruba księga, nosząca na sobie ślady palców wielu pokoleń, z których prawdo-

¹⁾ Delikwent -- winowajca, przestępca.

podobnie każde używało więcej tabaki, niż mydła, gdyż rogi kart były poczerniałe zupełnie.

Mistrz miał minę surową, a wejrzenie wielkich, czarnych oczu przejmowało strachem całe audytorjum¹⁾. Z pod jego pluszowej, wypłowiałej czapki wysuwały się włosy czerwone, a długa kasztanowata broda spadała mu na piersi...

Mistrz trzymał w ustach fajkę porcelanową, na długim cybuchu. W tem naczyniu, które przed laty wieloma przywiózł mu w prezencie pewien bardzo wielki kupiec wprost z Gdańska, tliły się kawałki tego czarnego tytoniu, który nosi na paczce napis «Świent wyborowy, cienko krajany».

Niebieskawy dymek z tego wyborowego, cienko krajanego narkotyku, łączył się z ciężką i duszną atmosferą szkoły i czynił zapach niepodobny zgoła do woni róż, fiołków lub konwalij.

Judka, przejęty trwogą, z przerażeniem spoglądał na mistrza, na jego brodę kasztanową i na cybuch, o którym podania młodszej generacji przyszłych kupców i obywateli miasteczka twierdziły, iż dziwnie gładko przylega do pleców i że ułatwia bardzo zrozumienie zawyłych znaczków hebrajskiego alfabetu.

W czasie dalszego pobytu w przybytku mądrości, Judka przekonał się osobiście, że podania te nie były owocem zmyślenia i fantazji, ale najszczerszą prawdą; mistrz bowiem, obok uczoności wielkiej i rozumu wysoko delikatnego, miał prawicę silną

¹⁾ Audytorjum — sala wykładów; tutaj — publiczność słuchająca, słuchacze.

i kosztownego cybucha w szlachetnym celu krzewienia oświaty nie żałował wcale...

System edukacji był bardzo prosty i niewymyślny. Mistrz omijał rozum — a trafiał wprost do pamięci... przez plecy.

Nie jego wina, że mu najczęściej tamtędy droga wypadła.

Dla oszczędności czasu — pomijał on wszelkie tłumaczenia i trzymał się tej wzniosłej, pełnej prostoty pedagogicznej zasady, która jest podstawą gry, tak zwanej w ojca Wirgiljusza:

«Ojciec Wirgiljusz uczył dzieci swoje,
Miał ich niewiele: dwadzieścia i dwoje —
Dalej, dzieci, dalej ha!
Czyńcie to, co i ja!»

Uczony melamed¹⁾ łosicki, szanowny rebe Jojna Gewaltlehrer, grał z pupilami swemi w ojca Wirgiljusza w ten sposób, że sam powoli, głośno, z deklamacją śpiewną i kiwaniem się nieustannem czytał, a dzieci wszystkie razem powtarzały przeczytane wyrazy, naśladowując intonację głosu i wykonywując także same ruchy, jakie czynił mistrz.

Jest to system znakomity, a ma jeszcze oprócz wielu zalet i tę jedną wielką, a nowożytnym pedagogom nieznaną, że oszczędza wydatku na sprawienie szyldu dla szkoły.

Niezmierny wrzask, który daleko jest tańszy i mniej kosztowny od deski z odpowiednim napisem, zawiadania zdaleka przechodniów i bliższych

¹⁾ Melamed, melamed (hebr.) — nauczyciel w che-derze.

mieszkańców o istnieniu przybytku wiedzy i zarazem daje przewodnikowi szkoły najwymowniejsze świadectwo, że młodzież nie próżnuje, lecz gorliwie i pilnie oddaje się pracy naukowej i ćwiczy swój umysł.

Rebe Jojna słusznie też cieszył się wysokim uznaniem jako pedagog mądry i energiczny, gdyż potrafił uczyć młodzież najpiękniejszych rzeczy z ksiąg, które umiał wprawdzie czytać — ale nie rozumiał ich wcale.

W tym przybytku wiedzy Judka przebył lat pięć i po zabraniu bliższej znajomości z cybuchem szanownego pedagoga, uczynił takie postępy, że czytała księgi święte z napięknieszą płaczącą intonacją — a kiwał się nad niemi tak zręcznie, tak miarowo, jakgdyby w grzbiecie miał osadzoną sprężynę.

Zmęźniawszy jednak duchem, Judka nie zmęźniał ciałem; był on cienki, blady, a dziwnie podobny do młodego, ze starej karp¹⁾ wyforsowanego sztucznie... szparaga.

Na matowobladej jego twarzy nie zagościł nigdy rumieniec — tylko jedynie duże, szeroko otwarte, chociaż cechą zmęczenia napiętnowane oczy miały pozory życia.

Jak dla przyszłego krawca, edukacja, poczerpnięta z nigdy niewysychającej krynicy szanownego rebe Jojny, była aż nadto wystarczająca — i skutkiem tego, rozkazano Judce opuścić cheder i zasiąść przy warsztacie krawieckim — przy tym sławnym tradycyjnym warsztacie, przy którym dziadek Judki

¹⁾ Karpa — część podziemna szparaga.

uszył ów, jedyny w historii miejscowego krawiectwa frak, żyjący dotychczas jeszcze w pamięci starszych mieszkańców miasta...

Judka opuścił cheder bez żalu i bez czułych wspomnień, a do nowego zatrudnienia przystąpił też bez radości wielkiej.

Nawłóczył igły, przyszywał guziki, łąty przyczepiał i uczył się od ojca praktycznie, jak należy przyklepywać rękami suknie na grzbiecie klienta i dowodzić, że ciasne jest wygodne, a obszerne ślicznie przystające do figury, że w całej okolicy wszystkie godne osoby muszą krój pochwalić, i że sam hrabia z Wywłoki lepszego ubrania w swej warszawskiej i zagranicznej garderobie nie posiada.

Przy tej pracy, prosty aż dotąd kręgosłup Judki powoli i nieznacznie się skrzywiać zaczął, lewa łopatką, nie mogąc się z prawą swą towarzyszką na jednym utrzymać poziomie, opuściła się nieco.

W przyszłości te drobne felery¹⁾ uczyniły Judkę krawcem czysto cywilnym, gdyż inaczej może byłby został bohaterem i zbierał wawrzyny na polu walki, do czego nie miał jednak wrodzonego zamiłowania... Od małego dziecka przenosił igłę nad bagnety, a widok maszerujących żołnierzy przejmował go dreszczem.

Podczas swej praktyki fachowej zdarzało się Judce przy boku ojca odbywać wycieczki w okolice. W takich razach, oprócz potrzebnych narzędzi, brali z sobą dwa worki, w których zawsze przynosili coś dla zaopatrzenia spiżarni mamy Ruchli.

Po sześciu latach praktyki, Judka już był mło-

¹⁾ Feler (niem.) — błąd, omyłka, wada.



dzieńcem i krawcem skończonym. Miał odświętną, własną ręką uszytą kamlotową kapotę, czarny pas wełniany i buty. Nosił czapkę na tył głowy zsuniętą, i szykował się do podróży w bardzo odległe strony, na kraj świata prawie...

W białej budzie płóciennej, z ojcem i kilkoma członkami rodziny, puszczał się w podróż do Sokolowa, gdzie miał do załatwienia pewien mały interes.

Miał się tam ożenić.

Wprawdzie nie widział nigdy pięknej panny Bajli Goldwasser, córki miejscowego «Chabou», która miała zostać wybranką jego serca i dozgonną towarzyszką życia — ale cóż to znaczy?

Czy, gdyby ją był widział, dajmy nato, posag jej powiększyłby się choćby o grosz jeden? czy piękna Bajla potrafiłaby przez to lepiej gotować kartofle? lub taniej kupić chudą kurę na rynku?

Ani troszeczkę — pocóż więc próżna strata czasu i koszt niepotrzebny?

Orszak weselny już oczekiwał pana młodego, z orkiestrą, złożoną ze skrzypiec, flecika i tamburyna...¹⁾ Co to wesele kosztowało pieniędzy!

Wprowadzono państwa młodych pod starym, spłowiałym baldachimem, ślub im dano, uraczono się na weselu, i Judka rozpoczął nowe życie.

Piękna Bajla, zdjąwszy z głowy zasłonę, ukazała się oczom swego małżonka... Twarz jej była czerwona i piegowata nieco, postać cała przysadzista i krępa.

Właściwie nie było się czem zachwycić — ale

¹⁾ Tamburyna — płaski bębenek ręczny z dzwoneczkami.

należy przypuszczać, że gdyby nawet Bajla posiadała wdzięki biblijnej Judyt lub szekspirowskiej Jessyki — dla naszego bohatera byłaby to okoliczność bardzo podrzędna i mało wzruszająca.

Dzieciak ten, dziś już mąż przecie — jeżeli kiedy marzył o czem, to najmniej o kobietach; był jeszcze tak młody, a pięknego w krótkim swoim życiu widział tak mało, o uczuciach wogóle słyszał tak niewiele, że na bohatera romansu nie miał i mieć nie mógł kwalifikacyj najmniejszych.

Małżeństwo jego był to interes ułożony wspólnie pomiędzy jego ojcem a Szmulem Goldwasser, pierwszym krawcem na cały Sokolów.

Ojcowie złożyli po trzydzieści rubli gotowizną na kapitał dla młodej pary, a Judka miał przez pierwsze trzy lata przemieszkować przy teściu, żyć na jego stole i kształcić się wyżej w swym fachu.

Program ten został w zupełności wykonany...

Nie wiem, czy przez pierwsze trzy lata młodzi małżonkowie spojrzeli sobie w oczy serdecznie, czy uścisnęli się za rękę, czy powiedzieli sobie jakie pieszczotliwe słówko — ale zdaje mi się, że nie.

On przepędzał czas cały przy warsztacie — ona dzieliła godziny swoje między kuchnię, kołyskę i targ, na którym puszczała się na małe spekulacyjne obroty.

Trzeba to jednak przyznać, że oboje byli sobie wierni, i żadnemu z nich nie przyszła ochota rzucić spojrzenia w inną stronę. Poco? oni na siebie nie patrzyli prawie...

Przybywszy do rodzinnego miasta, Judka przejął się już duchem sokołowskiego postępu; nosił

o dwa cale krótszą kapotę, miał kilka razy do roku wyczyszczone buty, a nad drzwiami swego domu wywiesił szyld z napisem: «Judka, krawiec warszawski»

Dłaczego warszawski, zaraz to wytłumaczę.

Judka nie kłamał, część wiedzy fachowej, nie bezpośrednio wprawdzie, nie wprost, ale przez kilka etapów, spłynęła na niego z Warszawy.

Żeby to jednak łatwiej czytelnikowi wytłumaczyć, potrzebuję ułożyć coś w guście minjaturowej księgi rodzaju tej mądrości.

Judka wyćwiczył się ostatecznie fachowo w pracowni swego teścia, mistrza Szmula Goldwasser.

Szumul uczył się u Herszka Fajna w Białej, Herszko uczył się u Jankła Pięknego w Siedlcach, Jankiel uczył się u Abrama Gelbfisz, kończył studia u Borucha Włodawera na Pradze — zaś nareszcie Boruch Włodawer praktykował u Chaima Tabaksbluma, który nie tylko, że posiadał własny warsztat w Warszawie, ale nawet w dwudziestej szóstej części był właścicielem składu tandety na Krasińskim placu.

Tak więc nikt nie zaprzeczy, że cząstka wiedzy Chaima, przez szereg pośrednich stopni, spadła na Judkę i że majster ten miał niejaki prawo do tytułowania się krawcem warszawskim.

Prawo to przysługiwało mu tem więcej, że posiadał nawet kolorowaną rycinę z żurnalu z 1846 roku, którą można było podziwiać z ulicy przez okno, o tyle, o ile zakurzone szyby i masa much na to pozwalały.

Pomimo posagu jednak i licznej klienteli, szczę-

ście nie sprzyjało Judce. Ojciec jego umarł — on sam kilka razy ciężko chorował — dzieci było ośmioro — wydatki duże — kuracja pochłonięła zapasy... Judka siwieć zaczął a kaszlał coraz mocniej.

Jedną tylko szczęśliwą, chociaż krótką chwilę, miał w życiu.

Pewnego lata wydzierżawił ogród owocowy. Cóżto był za raj!

Szył w budzie słomianej na świeżem powietrzu, co niedziela jeździł z transportem gruszek — a jakie życie miał pyszne!

Bajla gotowała przedziwną zupę z robaczywych jabłek, które wiatr z drzewa strącił przedwcześnie, była moc zielonego szczypioru, młodych kartofli i rzodkwi.

żyć nie umierać, same delicje!¹⁾

W tym okresie życia Judka śpiewał nawet. Czynił to co sobota, kiedy się szabas już skończył, a na letniem, ciemnoszafrowem niebie zajaśniały mirjady gwiazd. Śpiewał jakiś majufes głosem drżącym — zapatrzony w mgły blade, co się jak duchy unosiły nad sąsiednią łąką, zasłuchany w rechotanie żab i krzyk derkaczy na błoniach.

Krótko trwało to szczęście!

Finansowa strona interesu świetna nie była — wiele owoców postrącały burze, ceny też nieszczęśliwe były, trochę złodzieje ukradli — trzeba się było wyrzec tego rodzaju przedsięwzięć na przyszłość tem więcej, że i kapitalik poszedł na wyposażenie dwóch starszych córek, które wraz z mężami osiadły przy ojcu.

¹⁾ Delicje (franc.) — słodczyce, tutaj — rozkosze.

Na dobitkę osiedlił się w mieście drugi kra-
wiec, petersburskim zwany, ponieważ był w wojsku
muzykantem i stał przez czas jakiś z pułkiem aż
w Brześciu, skąd przywiózł takie świeże mody, że
Judki stary żurnal nawet stracił wobec nich autorytet.

Ta konkurencja była zabójcza. Lepsza klientela
przeniosła się do modnego Abramka — a Judka, z wor-
kiem na plecach, wędrował po wioskach i sam szukał
roboty po dworach i dworkach szlacheckich.

Właśnie od kilku dni już pracował u pana Onu-
frego, a pracował zawzięcie, przez ten czas albowiem
uszył śliczną salopę dla pani Onufrowej, przerobił
ze starego surduta kaftan dla panny Onufrowny
przerobił ze starego surduta kaftan dla panny Bry-
gidy, oblatał i odświeżył z dziesięć sztuk rozmaitego
ubrania i na koniec tej nocy miał skończyć arcy-
dzieło — palto dla samego pana Onufrego.

Zato wszystko oprócz fury drzewa i prowizji
w naturze, prowizji, którą pan Onufry przyrzekł so-
lennie odstawić własną furmanką w przyszłym ty-
godniu, Judka miał otrzymać w gotowiznie rubli
srebrem cztery.

Arcydzieło trzeba było koniecznie wykończyć
na termin.

— Słuchaj, Żydzie — zapowiadał pan Onufry —
płacę ci, bestjo, po pańsku, ale pamiętaj sobie, żeby
mi na piątek raniusko paltot był — bo ja przez lep-
szego odzienia na odpust nie pojedę.

— Kiedy proszę jegimości — tłumaczył się
Judka — niech jegimomość uważy, co ja bez ten tydzień
prawie nic nie spałem...

— A to czemuś czeladnika sobie nie przypro-
wadził?

— Co tu czeladnik ma zrobić, kiedy ja sam
zarobię tak mało...

— Powiedziałem ci, kręć, jak chcesz — aby
było...

— Nu — to już ja zrobię, ale niech jegimomość
jeszcze doda choć pół korca kartofli dla dzieciów...
niech jegimomość kochany nie żałuje, teraz taki czas
ciężki...

— A niech cię marności!... dobrze, dam ci, ile
udzwigniesz, abys tylko zrobił — jeszcze ci u sąsiada
robotę naraję.

Ta obietnica była dla Judki ostrogą — przesie-
dzi już czwartą noc z rzędu przy pracy — ale za to
dostanie, oprócz zapłaty umówionej — pół korca kar-
tofli, a i perspektywa nowej roboty coś znaczy...

Wziął się tedy gorąco do pracy, a kiedy pas
złocisty zaczął się ukazywać na wschodzie — a on
już do swego arcydzieła rękawy przyszywał, wówczas
słabo mu się zrobiło. Barwne koła zamigotały przed
oczyma z niesłychaną szybkością i zaraz prędko czer-
nieć zaczynały...

Wtenczas Judka, według zwyczaju swego,
poratował się kieliszkiem wódki i gryzącą cebulą
z chlebem.

Kiedy siły wzmocnił i właśnie palto prasować
zamierzał, zerwała się ze swego posłania Brygida
i rozpalila na kominie ogień, przy którym całego
cielaka upiechy można.

Pani Onufrowa też wstała.

— A to — rzekła — żydzisko pazerny ¹⁾ na zarobek, kiej jeszcze do tej pory siedzi!

— Każda biedność, proszę jejmości, jest bardzo pazerna — odpowiedział jej Judka — ale właśnie bez to, co ona taka pazerna jest — to jegimomość będzie na odpuszcie wyglądał, jak sam jaśnie hrabia z Wywłoki... Taki kawałek odzienie to jest rarytny ²⁾ interes!

Pani Onufrowa troskliwie obejrzała paltot, zganiła trochę szycie, skrytykowała kieszenie, ale w gruncie rzeczy kontenta była, że jej szanowny małżonek tanim kosztem przyszedł do takiej elegancji, a kiedy rzuciła wzrokiem na twarz Judki, wybladła, zmęczoną, na oczy poczerwieniałe jak u królika — to jej się żal Żyda zrobiło i rzekła:

— Może ci jeść co dać, boś jakoś kaducznie kiepski, mój Judko.

— Bóg zapłać jejmości, ale co ja tu mogę jeść? mnie nie wolno tego, co państwo jedzą.

Baba przyznała mu słusność.

— Co wiara, to wiara — rzekła — zawdyk trza swego zakonu pilnować... i potem otworzyła szafkę, nalała kieliszek wódki i postawiła na stole.

— Naści — rzekła — to ci wolno przeciel

Drugi już z rzędu kieliszek i ciepło od rozpalonego na kominie ognia wywarły swoje skutki...

Judka orzeźwił się, na twarz jego wystąpiły silne rumieńce, wpadł nawet w dobry humor.

Dowcipkował, przymierzając workowate paltro i gładząc je na szerokich plecach pana Onufrego.

¹⁾ Pazerny (gwar.) — chciwy, łakomy.

²⁾ Rarytny — osobliwy, wyjątkowy, wyśmienity.

— Cóż, Małgosiu? — zapytał świeżo ustrojony szlachcic — podobne to odziewadło do czego?...

— No, niby niema co gadać, sprawny Żyd — porządny statek ci uszył.

— Niech jegimomość sam uważy, jak to leży — mówił Judka, wygładzając dłonią fałdy na plecach — niech kto drugi zrobi taki fajny paltro! to jest kawałek roboty, to jest sztuka! Aj waj, jegimomość tak wygląda, jakby miał na wielkie wesele jechać — ja zarobiałem moje pół korca kartofli...

— No, słowo się rzekło... dam, odeślę ci z tem, com obiecał.

— To ma być dopiero we wtorek, niech mi jegimomość da dzisiaj choć ćwiartkę dla moich dzieciów — ja wezmę z sobą do domu. Uni tam pewnie już nic nie mają do jedzenia; za taką fajną robotę niech uni sobie zjedzą tę trochę kartofli!

Szlachcic zaprowadził Żyda do kopca, pomógł mu nasypać w worek dobrą ćwierć kartofli — potem zapłacił umówione honorarjum ¹⁾ i, rozstali się.

Pan Onufry z małżonką pojechał na odpust.

On w paltocie nowym, w czerwonym szaliku na szyi, wygolony świeżo, miał niezwykle uroczystą minę. Pani zaś w ogromnej, przedpotopowym jakimś krojem zrobionej salopie wyglądała jak mały... stózek siana.

Judka poszedł pieszo.

Na zgarbionych plecach niósł ciężki worek, w którym oprócz kartofli znajdowały się jeszcze dwa krawieckie żelazka.

¹⁾ Honorarjum — wynagrodzenie, zapłata.

Na drodze szkaradne błoto było. W powietrzu wisiała mgła ciężka, szara, z poza której wychylały się wyraźnie kontury drzew i krzaków przydrożnych.

Do miasteczka było blisko dwie mile, a Judka potrzebował stanąć tam przed mrokiem, gdyż to był piątek. Szabas się miał rozpocząć.

Liczył na swoją lekkość, na drewniany łokieć, którym się podpierał, wreszcie liczył na to, że go może jakiś chłop dopędzi i na furkę swoją zabierze.

Przecież go wszyscy znają w tej okolicy... Żeby mu łatwiej iść było, zawinął poły chałata i uczepił je z tyłu za pasem; nadał swojej kapocie jakby kształt fraka, którego ogon wlokł się po błocie, ilekroć to głębszym było.

Nie łatwa to rzecz iść pieszo — po wyboistej drodze, pełnej grzęskiego błota, zwłaszcza gdy się dźwiga ciężar stosunkowo dość znaczny... O, nie łatwa! ale Judkę popychało do domu szczęście wielkie.

On miał taki śliczny tydzień — tak dużo zarobił! Będzie miał furę drzewa i trochę prowizji — w kieszeni gotowizną posiada całe cztery ruble, a na plecach niesie ćwierć kartofli!

Z takim sutym zarobkiem warto przecie spieszyć do domu!

Szedł więc drogą i dumał.

Z początku myśli jego koncentrowały się na sumie, którą zarobił. Rachował, obliczał, co może kupić za owe cztery ruble, oraz ile jest też warta fura drzewa i prowizja ¹⁾, którą ma dodatkowo otrzy-

¹⁾ Prowizja — zapas żywności.

wać... Myśląc o tem, szedł bardzo szybko, tak da-
lece szybko, że uczuł, iż mu się robi gorąco. Twarz zaczęła go palić...

Musiał zwolnić kroku, nareszcie stanął, położył ciężar na ziemi; zażył tabaki i zaczął się oglądać, czy jaka fura chłopska nie nadjeżdża...

Wówczas przekonał się, że jeszcze dwóch wiorst nie uszedł.

Jak mógł okiem zasięgnąć — droga zupełnie pusta była... z przeciwnej tylko strony jechało fur kilka; dziad kulawy, wzięwszy kulę pod pachę, spieszył na odpust, a biegł zamaszycie, śpiewając jakąś piosnkę niezbyt nabożnej treści.

Wszyscy w tamtą stronę!

Przypomniała mu się rozmowa z panią Onufrową, i zaczął o niej rozmyślać.

Sam powiedział, że biedność jest pazerna i chciwa — a przez to, że biedność jest pazerna, bo głodna wiecznie — bogaci mają uszyte ubranie.

To prawda jest, myślał, bieda, to brzydki interes, a głód dziwnie podobny do bata; on bije, bardzo mocno bije. Koń u woziwody dostaje dużo kijów, ciągnie dużo wody, ale za to ma trochę siana. Na te ciężkie czasy koń robi niezły interes — ale łaciarz robi gorszy. Dlaczego gorszy? bo koń potrzebuje tylko siana i nie ma ani żony, ani ośmiorga dzieci, nie potrzebuje wyprawiać szabasowej uczy, ani wydawać córek zamąż.

Judka chciał już zazdrościć koniowi, ale się przeląkł tej myśli.

Fel! cóż znowu! Koń jest bydłem, a on pierwszy krawiec warszawski na całe Łosice, co

rano dziękuje Panu Bogu za to, że go stworzył człowiekiem. Koń jest głupi, a on przez pięć lat pił ze studni mądrości u uczonego rebe Jójny. Konia po śmierci psy zjedzą, a on leżeć będzie wygodnie w ziemi pod słupkiem, na którym wyrzeźbią świecznik. Dusza jego pójdzie do przodków sławnych.

Nie! łaciarz nie zazdrości koniowi losu. On przecie miał taki obfity zarobek w tym tygodniu!

Już odpoczął i puścił się w dalszą drogę. Idzie, ale go dziwna senność ogarnia. Patrzy bezmyślnie w mgłę szarą, stawia krok za krokiem automatycznie¹⁾, ale kroki są coraz wolniejsze.

Nogi ociężyły, jakby kto do nich po kawale ołowiu przywiązał — nie chcą się trzymać prostego kierunku, lecz coraz zachwieją się niepewne i zakreślają łuki, jak u pijanego.

Wszakże Judka nie jest pijanym, on czuje się tylko słabym nieco.

Ale to bagatela, to przejdzie; jemu to nie pierwszy raz się zdarza... O! wieleż razy tak było!

Jest to tylko senność. Senność, przy której trochę głowa boli i dreszcze przebiegają po ciele. Czasem bywa z tego interesu choroba, a czasem tak przechodzi. Często przechodzi, Judka wie, że się można do tego przyzwyczaić — zresztą może furmanka się trafi...

Niestety, nie widać.

Pół drogi już przeszedł, lecz cóżto jest? — miasto nie przybliży się wcale, owszem zdaje się nawet oddalać — a worek strasznie ociężał. Czyżby

¹⁾ Automatycznie — bezwiednie, machinalnie.

szlachcic zamiast ćwiartki kartofli wsypał w niego grochu?

Nie — to kartofle istotnie. Gniotą one grzbiet... bardzo gniotą — ale czemuż są tak okropnie ciężkie? Przecież, jak je brał na plecy, nie wydawały się takimi, i spać mu się tak nie chciało, jak teraz.

Powieki opadają bezsilnie, nogi odmawiają posłuszeństwa, trzeba spocząć koniecznie... niepodobna iść dalej...

Na szczęście jest tuż przy drodze wzgórek, dość suchy; zeschnęła, pożółkła trawa na nim sterczy. Musiał tam niegdyś stać dąb, jeszcze pień czarny, szeroki, świadczy o tem.

Doskonałe miejsce do wypoczynku.

Judka położył worek na pniu, sam zaś usiadł na wzgórku.

Jeszcze ma czas. Mgła opadła nieco, i blade, jakby zaspane słońce, co się z poza chmur wyknęło chwilowo, świadczy, że jeszcze południa niemasz. Przed zachodem zająć można.

Judka siadł i rozmyśla, dlaczego Pan Bóg dał biednemu człowiekowi głupie nogi, co mdleją? Dla tego zapewne, że go obdarzył delikatnym rozumem... I to jest prawda...

Ale to się wszystkich ludzi nie tyczy. Jakie na przykład znakomite nogi ma każdy faktor — jak on lata za geszeftami¹⁾, jak zająć ale, zato on nie potrafi uszyć fajny warszawskiego paltota i — nie spać przez kilka nocy.

Już takie przeznaczenie. Trzeba się cieszyć talentem albo zdrowiem. Judka się cieszy talentem.

¹⁾ Geszeft (niem.) — interes.

Liczy w myśli kapoty, jakie uszył w ostatnich czasach: były to śliczne kapoty! potem zgaduje, co też Bajla ugotowała na szabas? Zapewne wiele bardzo dobrych rzeczy. Śliczna to rzecz jest szabas, w tym dniu zawsze się jada i sypia, oraz chwali Boga... Kto szabas wymyślił, to musiał być bardzo mądry... O tak!...

Myśli Judki sięgają w przeszłość — jak w kalejdoskopie tworzą się w nich coraz to nowe obrazki... Cała historia życia staje przed oczami — czuje, że mu słabo — skąd znów?

To znużenie, sen dopomina się o swoje prawa.

Głowa opada na piersi, cały korpus pochyla się nareszcie mimowolnym ruchem. Łaciarz podłożył ręce pod głowę, wyciągnął nogi i usnął...

Dwie wrony, kracząc, zakreślają koła. Nareszcie siadły na zagonie i zdaleka, przekrzywiając głowy, przyglądają się śpiącemu.

Potem wlatują znów w powietrze i z góry przypatrują mu się bacznie, kraczą krzykliwie...

Dziwi ich zapewne, dlaczego ten Żyd śpi przy drodze? — że nie umarł jeszcze, wiedzą dobrze — ba! wrony doskonale znają się na tem.

Już słońce zniża się ku zachodowi — po drodze, chociaż błotnistej, jedzie szybko wóz drabiniasty, w dzielne trzy konie zaprzężony. Na wozie, na siedzeniu ze słomy, siedzi pan Jacenty, ekonom z sąsiedztwa, fornał Grzela powozi. Jadą po jakąś maszynę widocznie, bo wóz dobrze słomą wyłożyli i obroku na parę dni mają ze sobą.

— Stój, Grzela, stój! — woła Jacenty — patrzno, kto tu leży...

Grzela wstrzymał konie.

— A dyć, to, panie, chyba żyd...

— Czy pijany? czy chory?

— E, panie, może umarty, to uciekajmy lepiej, bo nas będą wodzić tam za świadków.

— Pewnie, ale trza obaczyć: jak żywy, to go weźmiemy na furę, a jak trup, to w nogi!

Grzela zeskoczył z wozu...

— Paniel! to ten łosicki żyd, Judka, ale musi żywy, bo krzynkę jesce dycha.

— Żydzie, Judko! — krzyknął pan Jacenty — a nie siabas to na ciebie, bestyjo!

Na ten wykrzyknik Judka zerwał się prędko, spojrzał nieprzytomnemi, jakby obłąkanemi oczami i narazie nie mógł zmiarkować, gdzie jest, i co się z nim stało.

— A dyć siadaj, bestyjo! — zawołał Grzela — to cię zawieziem do Łosic...

Dziękując, kłaniając się do samej ziemi, łaciarz ze swym ciężarem wdrapał się na wóz i opowiedział ekonomowi, skąd idzie.

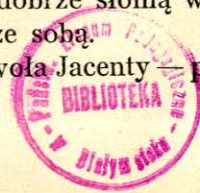
— Ale też żeby tak zaś paść przy drodze, jak nie człowiek — rzekł jakby sam do siebie ekonom — to dopiero!

— Proszę jegomości — odpowiedział Judka — między nami jest takie gadanie: co kura nie ptak, koza nie bidło, a krawcy nie ludzie.

— Jakto nie ludzie? a cóż ty jesteś?

— Nu, niby uni ludzie, a nie tak jak ludzie, krawcy tylko...

— Ale baj baj, będziesz w raj! a któż ci kazał, żeby, panie dzieju, cztery noce nie spać?



— Nikt mi nie kazał, tylko widzi jegimomość, każdy człowiek potrzebno żyć... Krawiec też musi żyć trochę, a jak un chce żyć, to nie może spać, a jakby chciał spać, toby nie mógł żyć, to jest bardzo prosty interes...

— To ci zyd spekulantny¹⁾ — wtrącił Grzela — na każdy sposób ma bestyja swój wykręt!...

.....

Przy osobnym, nakrytym stole, w parę godzin później, siedział Judka, ubrany w nową kapotę i śpiczastą czapkę z futrem.

Dzieci jedne już spały, drugie ziewały po kątach. Pani Bajla, ustrojona w jakiś dziwnego rodzaju tupet²⁾, ozdobiony kwiatami i wstęgami żółtymi, kładła na talerz swego małżonka i pana kawałek mocno korzeniami zaprawionej ryby. A ten mąż i pan i głowa swojej rodziny myślał o tem, jaki świat piękny, kugiel smaczny, życie rozkoszne, a szabas błogosławiony!!!

Tyfusu nie dostał, bo takie niewywczasowanie, ból głowy i dreszcze przechodzą czasem... gdy się już kto do wszystkich rozkoszy życia przyzwyczai.

¹⁾ Śpekulantny, spekulatny (gwar.) — przemysłny, przebiegły.

²⁾ Tupet — czub, fryzura.

FROIM

(SZKIC Z NATURY)

Wśród piasków podlaskich i bagien, w zapadłej, lesistej okolicy, znajdowała się mała i nędzna miejscina...

Może było w niej sto domów, a może i nie — któż tam spamięta? tem bardziej, że co lat kilkanaście, ni stąd ni zowąd wybuchał pożar i całą miejscinę w kupę węgla i gruzów zamieniał, tak, że tylko okopcone kominy świadczyły o tem, że niegdyś w tem miejscu ludzkie siedziby istniały.

Zwykle po pożarze żydkowie podnosili wielki płacz i lament, darli na sobie szaty, rwali włosy z głów i bród, płakali jak ongi po zburzeniu świątyni — zbierali po okolicy wsparcia i składki... ale po kilku miesiącach lzy pogorzalców obsychały, jęki cichnęły — a natomiast rozlegał się zgrzyt pił i stuk toporów, i, jak grzyb po deszczu, wyrastała miejscina, niby to nowa, a taka sama nędzna i może jeszcze brudniejsza niż przedtem.

Ladajako sklecone chałupki stały w czterech rzędach dokoła rynku. W otwartych drzwiach kramików kupcy stali, zapraszając, bardzo rzadkich zresztą, klientów... bachory tarzały się w piasku, a melancholicznie zadumane kozy rozmyślały nad

tem, czemby się pożywić. Zdaje się, że ten sam temat zajmował nieustannie i całą, przeważnie żydowską, ludność miesciny.

Sześć razy do roku bywały tu jarmarki, których całe miasteczko oczekiwało z upragnieniem. Sześć razy do roku otwierał się tu pożądany zbyt na liche czapki, chłopskie buty, łatanе kożuchy i tym podobną niewykwintną garderobę.

Przed każdym jarmarkiem wrzało życie i ruch. Żydówki nagwałt piekły obwarzanki, pierniki, makagigi¹⁾ i tym podobne przysmaki, Żydzi zaś sprowadzali liche towary i fabrykowali piwo, wódkę i wszelkie inne trunki, żeby były smaczne i parzyły chłopskie gęby, jak się należy — jak ogień...

Jak się to tam robiło, rzecz nie moja, dość, że w wigilję jarmarku wszystko było gotowe.

Radość jaśniała na każdym obliczu, a nawet przeraźliwe kwiki nieczystych stworzeń, na targowicę pędzonych, zdawały się napełniać rozkoszą serca tej wygłodniałej, wiecznie grosza spragnionej rzeszy kupczącej...

Gdy już mrok zapadał, fury się rozjechały i ostatniego pijaka wywleczono z szynku, miescina zapadała znowuż w sen letargiczny²⁾, jak przedtem. Kramarze drzemali w swych kletkach, Żydówki, rozsiałszy się na progach swych domostw, robiły pończochy... a uczeni ludzie kiwali się nad księgami od rana do nocy...

¹⁾ Makagiga — przysmak w kształcie niewielkiej tabliczki, przygotowany z maku i miodu.

²⁾ Letargiczny — będący w stanie pozornej śmierci; tutaj — w znaczeniu: gnuśny, nieruchomy.

Chyba, że ktoś obcy przejeżdżał przez miescinę — wtenczas budzono się z apatji¹⁾, i cała populacja²⁾, zbliżając się gromadnie, szła oglądać bryczkę lub powóz, dopytywać podróżnego, albo stangreta: kto? dokąd? naco? i jaki ma interes? Kury i kozy przychodziły zbierać resztki obroku, a jeden i drugi uczony, porzuciwszy księgi, chętnie zamieniał się w faktora, żeby kilka groszy zarobić.

Na samym środku rynku stał budynek stary, czerwony, odrapany, imponujący rozmiarami swemi drobnym drewnianym chałupkom. Była to duża austerja³⁾ ze sklepikiem, izbą szynkwasową⁴⁾, brudnym «numerem» dla jaśnie wielmożnych podróżnych i wielką stajnią, w której co najmniej pluton kawalerji mógłby się rozlokować swobodnie.

Ta austerja przetrwała wszystkie pożary i unikała zagłady w ogniewym morzu płomieni — unikała, chociaż dokoła rynku ze wszystkich stron buchał ogień, chociaż waliły się z trzaskiem dachy domostw, sypiąc miliony iskier, chociaż wiatr rozrzucał płonące głownie. Głupi ludzie mówili, że austerji ogień dlatego się nie ima, iż stoi ona na osobności, jest murowana i pokryta holenderską dachówką, ale kto miał chociaż trochę nauki, kto poczuł smak, jaki się w mądrych księgach znajduje, ten wiedział, że przyczyna leży w czem innym.

Austerja nie spaliła się, bo się spalić nie mogła... i żeby ją kto zapalkami od fundamentu do

¹⁾ Apatja — zubożenie, nieczulość, odrętwienie umysłowe. ²⁾ Populacja (franc.) — ludność.

³⁾ Austerja — gospoda, zajazd, oberża.

⁴⁾ Szynkwas — bufet w szynku.

30

komina obłożył, smołą oblał i pierzami obsypał, to przecież ogieńby jej nie tknął; bo było już takie założenie, oddawna było wymówione takie słowo, którego moc silniejsza jest nad siarkę, nad smołę i nad wszystkie potęgi czarnych djabłów.

Na co lepszego dowodu nad to (o czym jeszcze dziś starzy żydkowie opowiadają, a co nawet dla wiecznej rzeczy pamięci zapisane stoi w księgach kahałnych)¹⁾, że kiedy, pięćdziesiąt lat temu, a może i więcej, był na świecie wielki harmider, gwałt i zamieszanie, kiedy połowa ludności z miasta uciekła, a druga połowa skryła się w piwnicach, kiedy huczało jak podczas burzy i kule ogniste latały, wówczas całe miasteczko poszło z dymem, a austerja została i, co więcej, ci którzy strzelali, weszli do niej, aby się napić wódki.

Historja twierdzi, że nie zapłacili za wódkę, bo mogli nie zapłacić, ale też nie zniszczyli austerji, bo jej zniszczyć nie mogli, dlatego, że już takie założenie jest, żeby ona stała niewzruszona na wieki...

Komu chce się śmiać, niech się śmieje, ale w miasteczku nawet lada bachor wie o tem, że przed laty stoma, a może nawet i dawniej, przejazdem zatrzymał się w tej karczmie mąż wielki, nabożny, sprawiedliwy, uczony, który miał wielką moc od Pana Boga, słowem — rabin; ale nie taki rabin, jak zwyczajny rabin, tylko wielki, bardzo wielki rabin, na cały świat znany; taki, do którego zjeżdżali się Żydzi z różnych miast, o pięćnaście, dwadzieścia, może nawet o dwadzieścia pięć mil drogi! Na wiel-

¹⁾ Kahałny (Kahał) — należący do gminy żydowskiej.

37

kie szczęście dla miasta, z powodu popsucia się fury i zmęczenia koni, tu owego rabina szabas zaskoczył... Tu więc był w łaźni, tu się modlił, a w austerji całą dobę przemieszkał. Jadł szczupaka z szafranem, kugiel¹⁾, cymes²⁾ z marchwi i pił doskonałe wino koszerne, takie, jakie w całym miasteczku było najlepsze. Jak go zaś przyjmowano, dość powiedzieć, że przez wdzięczność takie wielkie słowo wymówił, żeby ogień zawsze austerję omijał...

Żalowali ludzie, że tego świętego słowa nie rozciągnął na całe miasto, ale przekonali się później, że mądry rabin wiedział dobrze, co robił.

Pożar albowiem jest to taki interes, na którym w gruncie rzeczy wiele się nie traci — a odbudowanie miasta — to znów taki interes, na którym można coś zarobić w ciężkich czasach.

Człowiek prosty i głupi narzeka nieraz na to, co jest, bo człowiek prosty jest ślepy i nie może wiedzieć, co będzie — uczony zaś, wielki i sprawiedliwy człowiek wie, co było, co jest i co będzie, i dlatego każde jego słowo jest mądre,

Wielkie pieniądze dawali Żydzi z innych miast, żeby austerję kupić, bo taki dom mieć — znaczy to samo, co wielkie szczęście mieć — ale ani ówczesny właściciel, ani jego późniejszy sukcesorowie³⁾ nawet słuchać o takiej propozycji nie chcieli. Spluwali z oburzeniem, gdy ktoś o czemś podobnem wspominał i — mieli za głupiego i bezbożnego człowieka każdego takiego amatora...

¹⁾ Kugiel — pieczona legumina żydowska.

²⁾ Cymes — przysmak, smakołyk.

³⁾ Sukcesor — spadkobierca.

Bo i rzeczywiście, jak można pomyśleć, żeby kto za marny grosz chciał się pozbywać takiej szacownej, takiej drogiej pamiątki i wielkiego honoru, jaki z jej posiadania wynika...

Tak więc austerja, od owego pamiętnego w dziejach miasteczka szabasu, aż po dzień dzisiejszy, jest w posiadaniu jednej i tej samej rodziny.

Obecnym jej właścicielem jest (bo żyje jeszcze dotychczas we czci i spokoju) stary Froim.

Poznaliśmy go wypadkowo, przejeżdżając... Koniska spracowały się, dźwigając ciężką bryczkę po żółtych piaskach podlaskich, należał im się więc słusznie wypoczynek... Wjechaliśmy w obszerne wrota austerji. Towarzystwo składało się z kilku młodych ludzi, skłonnych do wesołości i żartów.

— Hej! hej! — zawołał jeden — moiście panie oberżysto, pokażno się pan tutaj!

Oberżysta nie wyskoczył na to wezwanie, ale wybiegła natomiast dziewczyna o czarnych i rozczochranych włosach, pełnych pierzy, i oznajmiła, że tu zawsze dostanie wszystkiego, tak jak w Warszawie, a nawet jeszcze więcej niż w Warszawie; tylko... stał się taki wypadek, że przed tygodniem właśnie był jarmark, i chłopci zjedli wszystko, co się tylko znajdowało, tak, że w tej chwili niema już nic.

Coprawda, niebardzo nas to oświadczenie zmartwiło, jechaliśmy albowiem z wakacyj ze wsi, a gościnną gospodyni nakładła nam w bryczkę tyle prowizji, że moglibyśmy o niej Bóg wie jak daleko zajechać. Kazaliśmy dać koniom owsa, Maćkowi rozczochrana żydóweczka wyniosła kielich gorzałki,

a my, wzięwszy z sobą koszyk z pożywieniem, rozsiadliśmy się w izbie gościnnej.

W sąsiednim pokoju siedział Żyd stary z długą brodą, białą jak śnieg, w aksamitnej czapce na głowie i, nie zważając wcale na nasze przybycie, czytał coś z wielkiej księgi, rozłożonej przed nim na stole.

— Panie Abrahamie! panie gospodarzu! — zawołał któryś z kolegów — chodźże pan do nas, powiedzno nam, co masz? co tu można dostać?

Żyd podniósł się, wyprostował i, gładząc brodę, wszedł do izby.

— Nie jestem Abraham — rzekł z ukłonem — moje imię jest Froim; widzę, że panowie nie tutejsi, skoro nie znają starego Froima.

— Froim, Froim — powtarzał jeden z kolegów — to imię często wspominał mój dziadek nieboszczyk, który przed laty mieszkał w tych stronach.

— A przepraszam, jak godność pańskiego dziadka?...

— Nosił to samo nazwisko co ja — odrzekł zapytany — Brzozowski... miał niegdyś w tych stronach majątek Czarny Bród.

W oczach Żyda zajaśniał blask szczególny.

— Pan Brzozowski — zawołał — pan Brzozowski, wnuk pana Walentego... wnuczek rodzony! Pozwól pan, niech się panu przypatrzę!... Tak, tak, pan podobny jesteś do dziadka... tylko tamten nie lubił się śmiać, tak jak pan...

Kolega mój zawstydził się trochę.

— No, nic nie szkodzi, nie szkodzi — rzekł Froim — młodzi panicze lubią czasem śmiać się ze

starego Żyda, bo na to są młodzi panicze... a na to jest stary Żyd, żeby się z niego śmiali.

— Ale, pozwól pan...

— Nieboszczyk dziadek pański rozumiał to inaczej i ja rozumiem inaczej... ale, coprawda, i na świecie było inaczej; dziś jest niedobrze, bardzo niedobrze... ale może to lepiej, Pan Bóg wie, co robi...

— Jakto, co pan mówisz? więc to lepiej, że jest teraz niedobrze na świecie?

— Ja panom wytłumaczę: Ze mnie śmieją się, że czytam książki, a czytam czasem cały dzień i całą noc... Panowie, jak przyjeżdżają, to mówią, że Froim myśli przez całe życie o małej bagatelce, o głupstwie... wiecie panowie o czym? Panowie powiadają, że jak się wbije gwóźdź w ścianę i potem jak się go wyjmie, to w ścianie jest dziurka... więc niby Froim całe życie myśli, gdzie się podziało drzewo z tego miejsca, w którym zrobiła się dziurka?

Rozśmialiśmy się.

— Ale to nieprawda jest. Froim myśli co innego; on myśli o tem, co w piśmie stoi, że na świecie będzie coraz gorzej, coraz gorzej..., ludziom zacznie się robić przewrócenie w głowie, serce u nich będzie twardsze niż kamień, i Pan Bóg da ludziom karę... a potem po karze, to oni poprawią się, i znowu będzie na świecie dobrze. Wilk będzie jadł trawę razem z kożą i krzywdy jej nie robi. Ja miarkuję, że niedługo Pan Bóg da już karę, bo na świecie jest gorzej, coraz gorzej i będzie jeszcze gorzej. Krzywda, fałsz, oszukaństwo nastanie, gorsze jeszcze niż teraz; jak jeden będzie mocniejszy, to za-

bierze drugiemu majątek, szczęście... życie mu zabierze... a dlaczego mu zabierze? czy dlatego, że jemu się należy? czy dlatego, że jakie prawo ma? Nie, tylko przez to, że jest mocniejszy. Nastanie taki czas, jaki jeszcze nie był, i taki ścisk na ludzi, jaki jeszcze nie był, i takie płkanie nieszczęśliwych, jakie jeszcze nie było, i taka bieda, i taka krzywda, i taka niesprawiedliwość, jaka jeszcze nie była. To się już zaczyna... to już zaczyna się... Ja, stary, nie doczekam obaczyć, co dalej będzie; ale panowie jesteście młodzi, przed wami długie życie, przekonacie się, że wszystko obróci się na gorsze...

— Tfu! do licha, panie Froim — zawołał Brzozowski — czy poto przyjechaliśmy tutaj, żebyś nas pan takimi obrazami przerażał... Ot, lepiej bądź pan uprzejmym gospodarzem i przynieś nam wina, jeżeli notabene masz jakie wino w swojej piwnicy.

Froim uśmiechnął się gorzko.

— Dlaczego ja nie mam mieć wina? — zapytał.

— Pewnie lura, jakiej świat jeszcze nie widział?

— Co panu szkodzi skosztować trochę tej lury? jak się nie będzie podobać, nie przymuszę; próba frei¹⁾.

Zawołał na służącą, która też niebawem przyniosła wino i kieliszki. Po otwarzeniu butelki przesłiczny aromat napelnił całą stancję; aczkolwiek nie doskonali znawcy, spostrzeżliśmy, że mamy przed sobą nielada okaz archeologii piwnicznej.

— To stare jakieś wino — rzekł Brzozowski.

— Niebardzo ono stare — odpowiedział Froim. — Mój ojciec sprowadził je wtenczas, kiedy w naszym

¹⁾ Frei (niem.) — wolny, swobodny

miasteczku stojeli Francuzy. Było ich tu dosyć, tych Francuzów, pamiętam doskonale... to już więcej niż kilka lat — dodał z uśmiechem. — Panie Brzozowski, pij pan zdrow... Dziadek pański bardzo to wino lubił. Pij na zdrowie, nie policzę panu drożej jak dziadkowi, a dziadkowi liczyłem je tak, jak mój ojciec Francuzom... jeden dukat butelka... nie więcej...

Wstał, obejrzał, czy niema kogo w sąsiedniej stancji i, przymknąwszy drzwi, usiadł przy nas i mówił ciszej:

— Jak ja kontent jestem, że pana widzę, panie Brzozowski; jak ja kontent, że zobaczył pana!... Zaraz mi się przypomniał dziadek pański, pan Brzozowski z Czarnego Brodu, mój najlepszy przyjaciel... To nie wstyd dla pańskiego dziadka, że on był mój przyjaciel, że miał przyjacielstwo z Żydem, bo Pan Bóg stworzył wszystkich ludzi z ziemi i nawet pierwszego człowieka kazał nazywać «syn ziemi», i od Pana Boga pochodzi każdy zakon i każda religja, i od Pana Boga jest przykazanie, żeby człowiek żył uczciwie w takim zakonie, jaki jemu Pan Bóg dał... Od jednego Pana Boga mamy życie i śmierć, szczęście i nieszczęście, bogactwo i głód... wszystko od jednego Boga mamy, bo niema dwóch bogów, ani dużo bogów, tylko jest jeden Bóg dla wszystkich zakonów i wszystkich ludzi... Pański dziadek to samo powiadał i nigdy nie pogardził Żydem... On pogardził tylko oszustem, szachrajem, złodziejem, rozbójnikiem, ale kiedy miał za co pogardzić, to nie pytał, czy on Żyd, tylko gardził tym człowiekiem, łajdakiem gardził... Pański dziadek miał wielki ro-

zum i wielkie serce... On nawet śmierci to tak parzył w oczy spokojnie, jak ja na tę butelkę patrzę.

— Skąd pan to możesz wiedzieć? — zapytałem.

— Widziałem to — odpowiedział spokojnie — mojemu oczami widziałem. No, ale pijcie no, panowie, bo takie wino warto pić, już jego niewiele jest na świecie... My z nieboszczykiem panem Brzozowskim mieliśmy taką starą znajomość, jak to wino jest stare. Byliśmy z nim razem i na wozie i pod wozem... On mnie raz obronił w wielkim nieszczęściu, i że jeszcze żyję na świecie, i że chwałę Pana Boga, to jemu tylko mam podziękować. To już dawno było, panowie, dawno, ale ja pamiętam. Już, już miałem ginąć, za co? to ja sam nie wiem, ale śmierć miałem przed oczami... przybiegł pański dziadek, obronił mnie... ja zemdlałem... Nie dziwota, ja nie byłem wojak... nie żydowski to interes i nie żydowska natura... mój ojciec, mój dziadek nie był wojak... ale pański dziadek, panie Brzozowski, pański dziadek, to odważny człowiek był... Długo czekałem na to, żeby mu się odwdzięczyć i — doczekałem się... przyszedł znów taki czas, że dziadkowi pańskiemu groziło nieszczęście... Pan Bóg, który czasem daje moc słabemu, pozwolił mi go także uratować. Ja się wtenczas, coprawda, bardzo bałem, ja strasznie się lękałem, ale ja to zrobiłem...

— Panie Froim — rzekł Brzozowski — więc to pan jesteś tym Żydem, o którym dziadek mój tak wiele dobrego opowiadał?

— Pewnie, że ja jestem tym Żydem, i to pewnie, że ja tak szanowałem pańskiego dziadka, jak on mnie... Ja handlowałem z nim uczciwie, ja za-

robiłem przy nim, ale ja go nie obdarłem, nie skrzywdziłem, jak to się praktykuje na świecie... On żył, i ja żyłem, on się dorabiał, i ja się dorabiałem, nawet, chwalić Pana Boga, ładnie się dorobiłem... ale jak przyszło nieszczęście, to i on stracił i ja straciłem... Nie płakaliśmy... Bóg dał, Bóg wziął... taka Jego wola... Bóg nawet czasem chce zrobić taką próbę nad człowiekiem, czy, jeżeli on jest nabożny i sprawiedliwy w szczęściu, będzie taki sam i w nieszczęściu... A wiesz pan, panie Brzozowski, dlaczego pański dziadek majątek stracił? Dlaczego ja majątek straciłem?... Przez nieszczęście. A nieszczęście bywa różnego gatunku: jedno takie, jak kamyk, co jak spadnie z góry, to może człowiekowi głowę skaleczyć... drugie znów będzie, jak cała góra kamieni, co jak się zwali, to wszystkich ludzi gniecie... Na nas zwała się cała góra!!

Nie przerywaliśmy, a stary Żyd westchnął głęboko i tak ciągnął dalej: — Oj... oj... to było dawno, bardzo dawno; panowie młodzi nie żyliście jeszcze na świecie, ale ja żyłem, pana Brzozowskiego dziadek żył wtenczas... Na nasze plecy zwała się cała góra, bo taka była wola od Pana Boga... Myśmy nie płakali, myśmy nie wyrzekali, bo wiadomo, że czasem Pan Bóg daje nieszczęście dlatego, żeby z tego nieszczęścia zrobiło się szczęście. Więc myśmy cierpieli i chwaliliśmy Pana Boga: pan Brzozowski nieboszczyk po swojemu, a ja po swojemu, i prosiliśmy Go, żeby dał nam wytrzymać nieszczęście, a z tego nieszczęścia żeby zrobił szczęście. No, Pan Bóg nie wysłuchał, miał inszą wolę, insze swoje pomyslenie i z nieszczęścia nie dał szczęścia, ale chciał

próbować ludzi i dał jeszcze gorsze nieszczęście. On tak chciał, i to trzeba też przyjąć... Jak rosa pada na ziemię, to z tego lepiej zboże rośnie; jak pada płkanie z ludzkich oczów, to także niedarmo. Od tego Pan Bóg trzyma tysiące aniołów, żeby oni to płkanie zapisali, zważyli, zmierzyl i zrobili całą sumę, co kiedyś będzie Jemu do rachunku potrzebna. Nie wiem ja, czy panowie mnie dobrze zrozumieli, ale to wiem, że mówię sprawiedliwie, jak prawda jest, jak się należy. Świat nie jest teraz porządnym, bo ludzie Pana Boga zapomnieli, wyrzucili z swego serca dobroć, a w to miejsce włożyli złość, zawziętość, zawiść, chciwość, że jeden drugiemu toby, jak nie przykładając pies, z gardła wszystko chciał wydrzeć, jeden drugiego chciałby ze wszystkim zniszczyć, zgubić... Żle, źle, bardzo jest... a ja się spodziewam jeszcze gorzej..

— Dlaczego pan jesteś takim pesymistą ¹⁾, panie Froim? — zapytałem.

— Ja nie rozumiem, co to słowo znaczy — odpowiedział — i nawet nie chcę rozumieć; ja nie jestem ani taki, jak pan powiada, ani taki, jakby kto mógł myśleć... ja jestem stary Żyd... z dawnych Żydów.

— Stary?

— Stary, panie, stary Żyd, nie dzisiejszy... to jest różnica... I to wino, które panowie pijecie, jest inne niż dzisiejsze... i wszystko dzisiejsze jest inne niż dawne... tylko moc od Pana Boga zawsze jednakowa, tylko Jego słowo się nie odmieni...

¹⁾ Pesymista — człowiek, dopatrujący się we wszystkim złych stron.

Powiedziawszy to, zamyślił się smutnie.

Już noc zapadła, w stancji zrobiło się ciemno, rozczochrana żydóweczka przyniosła cienką szabasówkę w wysokim lichtarzu mosiężnym i postawiła ją przed nami.

Czerwony płomyk tej świeczki rzucał na ścianę i podłogę fantastyczne cienie. Mosiężny żyrandol ¹⁾ szabasowy, uczepiony u pułapu, wydawał mi się niby pajak potworny, niby owa góra nieszczęścia, która wali się, jak mówił Froim, na ojców, na dzieci i na dzieci tych dzieci, — a sam Froim, poważny, siwobrody starzec, w owym oświetleniu niepewnym, migotliwym, zdawał się być prorokiem, wołającym: — Biada wam, biada! boście zatwardzili serca wasze, jak kamienie!

Konie już były napasione i wypoczęte. Maciek też zaprzął je i z łoskotem zajechał przed karczmę. Pożegnaliśmy się z Froimem, który odprowadził nas do drzwi i rzekł w progu:

— Nie omijajcie, panowie, nie omijaj pan, panie Brzozowski, naszego miasteczka i starego Froima... Znajdźcie tu jeszcze trochę tego wina, co Francuzów pamięta... ale wstąpcie niedługo, bo czas ucieka, oj, oj, jak on ucieka! On tak ucieka, jak ptak na skrzydłach, on tak ucieka, jak wiatr, który wieje po polach... a co trochę dmuchnie, to trochę z sobą zabierze... Śpieszcie się więc, panowie, bo już niedługo powiecie, że i takich ludzi, jak nieboszczyk pan Brzozowski, niema, i takiego wina, co

¹⁾ Żyrandol — świecznik.

Francuzów pamięta, też niema... i starego Froima także niema...

— Żyj pan jeszcze sto lat — rzekłem, wsiadając na bryczkę.

— Dziękuję za dobre słowo — odrzekł, ale co bym ja tu robił?

— Jakto?

— Z kim miałbym żyć? kiedy powiadam panu, że już z dawnych czasów nic niema, nawet... i wstyd, i smutno takie słowo powiedzieć... dziś nawet Żydów, jak się należy, także już niema...

Odjechaliśmy. Wypoczęte konie, parszając wesoło, ciągnęły raźnie bryczkę po piaszczystym gościńcu; towarzysze moi, rozmarzeni starem winem, drzemali, a ja spoglądałem dokoła, o ile cienie nocy letniej pozwalały na to...

Nad smutną, lesistą okolicą Podlasia świeciły gwiazdy, z nad moczarów i łąk mgła w fantastycznych kształtach unosiła się ku górze. Zdawało mi się, że w tej mgle niewyraźnej, białawej, widzę poważną postać Froima, widzę jego siwą brodę, rozwiewającą się szeroko, jego wychudłą rękę wzniesioną do góry, i że w tchnieniu wiatru dolatuje mnie suchy głos starca...



986

244382

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH
I MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

- | | |
|--|------|
| 33. SIENKIEWICZ H. Na oceanie Atlantyckim. (Listy z podróży). Wyd. 3 | 0:30 |
| 34. SIENKIEWICZ H. Z puszczy amerykańskiej. (Listy z podróży). Wyd. 4 | 0:60 |
| 35. PRUS B. Kamizelka. — Michałko. Wyd. 6. | 0:50 |
| 36. DYGASIŃSKI A. W puszczy. (Pół fantazji na tle wspomnień). Wyd. 3 | |
| 37. DYGASIŃSKI A. Wilk, psy i ludzie. Wyd. 3 | |
| 38. BRODOWSKI F. W piwnicy. — Opowieść druga. — Na straży nieprzespanej. | |
| 39. TETMAJER K. Książd Piotr. Nowela odznaczona I nagrodą na konkursie «Czasu». Wydanie 5 | 0:50 |
| 40. ORZESZKOWA E. Gloria victis (Rok 1863) | 0:70 |
| 41. ŻEROMSKI ST. Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy. Wyd. 3 | 0:20 |
| 42. SKARBK FR. Łukasz Stempel. Wyd. 2 | 0:30 |
| 43. SKARBK FR. Mundur. — Jaszczółt. Wyd. 2 | 0:25 |
| 44. SKARBK FR. Dwie siostry. — Przewoźnik. Wyd. 2 | 0:30 |
| 45. PRUS B. (Aleks. Głowacki). Anielka. Powieść | 2:50 |
| 46. KRASIŃSKI Z. Listy do A. Potockiego. Z przedmową A. Krasińskiego. Wydał i szkicem o przyjaźni w życiu Krasińskiego poprzedził Ign. Chrzanowski | 1:50 |
| 47. MOŚCICKI H. Promieniści — Filomaci — Filareci. Wyd. 3 popr. i uzup. | 2:80 |
| 48. ŻMICHOWSKA N. Prządki. Powieść ze wspomnień dzieciennego wieku | |
| 49. SIENKIEWICZ H. Z puszczy Białowieskiej. Wyd. 3 | 0:35 |
| 50. SIENKIEWICZ H. Niewola tatarska. Urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego. Wyd. 6 | 0:80 |
| 51. SIENKIEWICZ H. Pójdźmy za Nim. Wydanie 4 | 0:50 |
| 52. SKARGA PIOTR. Kazania Sejmowe. (Wybór). Z objaśnieniami Ignacego Chrzanowskiego | 0:90 |
| 53. SIENKIEWICZ H. Za chlebem. Wydanie 8 | |
| 54. SIENKIEWICZ H. Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. Nowela. Wydanie 6 | 0:35 |
| 55. SIENKIEWICZ H. Sielanka. Legenda żeglarska. Wyd. 4 | |
| 56. SIEMIŃSKI L. Portret króla Jana. Posłowie siewiersey. Wydanie 2 | 0:30 |
| 57. SIEMIŃSKI L. Wieczór u generała Kopcia. Wiązanka konwalij. Wydanie 2 | 0:25 |
| 58. SIENKIEWICZ H. Orso. Sachem. Wydanie 4 | 0:60 |
| 59. PRUS B. Przygoda Stasia. | 1:20 |
| 60. SMOLEŃSKI WŁ. Przyczyny upadku państwa polskiego. Wydanie 2 | 0:20 |